**CZAS SZKOŁY, CZAS DOJRZEWANIA**

**,,Marzenie”**

Jest zima. Mróz. Ogromne ilości śniegu. 10-letnia Ola wybiera się na urodziny koleżanki. Dostała zaproszenie od Magdy, więc wypadało na nie pójść.

– Olka!- krzyknął Adrian, starszy brat Oli.

– Olka, no chodź tu!- krzyknął ponownie.

– Idę – powiedziała pod nosem siostra. Wbiegła po schodach do góry.

– Co chcesz? – zapytała.

– Jak będziesz jechać z mamą do Magdy to wstąp do Kamila i zanieś mu te zeszyty.
– powiedział podając siostrze bruliony z piłkarzami na okładkach. Chłopiec był mocno przeziębiony i w domu uzupełniał szkolne zaległości.

– No dobra, pa – powiedziała Ola i wyszła z pokoju.

Często kłóciła się z bratem. Nawet o to, kto zje więcej lodów, albo kto zrobi więcej sald na trampolinie. Oczywiście wygrywał Adrian, a Ola nie dawała za wygraną. Zawsze znalazła jakiś powód, aby brat przegrał. Wtedy dopiero zaczynała się kłótnia, ale mniejsza o to.

Kiedy Ola z mamą były już w samochodzie, dziewczynka przypomniała sobie
o zeszytach dla Kamila. Chłopiec miał piegi na nosie, wyłupiaste oczy, rude włosy
i był najlepszym kumplem jej brata. Ola szczerze nie znosiła Kamila, ale trudno.

- Trzeba zanieść te zeszyty- pomyślała.

 W domu kolegi nie zastała nikogo, więc mama wpadła na pomysł, by zostawić notatki w skrzynce na listy, a po powrocie powiadomić jego rodziców
o przesyłce.

U Madzi w domu było już wiele dziewczyn, nawet te, które były starsze lub chodziły do innej szkoły. Najpierw było malowanie paznokci, potem czesanie fryzur i ubieranie się w balowe suknie. Na koniec odbył się konkurs, w którym to rodzice Madzi wybierali „Najpiękniejszą dziewczynkę”. Została nią – Madzia. Oczywiście potem był tort i tradycyjne otwieranie prezentów. Ola chciała być już w domu, nie przepadała za takimi zabawami. Usiadła na kanapie i zastanawiała się co robić.

- Zadzwonić do mamy czy jeszcze poczekać? Jeszcze poczekać! - postanowiła.

Nagle do salonu weszła mama Madzi.

– Coś się stało? – zapytała.

– Nie, nic!- odparła Ola.

- Teraz jedziemy oglądać występ jazdy figurowej na lodzie – powiedziała informacyjnie mama koleżanki.

Ola była wniebowzięta, uwielbiała oglądać występy na lodzie w telewizji, sama też już kilka razy była na lodowisku i próbowała jeździć. Szło jej to całkiem nieźle, była w tym zdecydowanie lepsza od Adriana. Uśmiechnęła się do mamy Madzi i pobiegła do dziewczynek, które już zaczęły się szykować do wyjścia.

Na wielkiej hali rozgrzewała się miła (na pierwszy rzut oka) pani
i wysoki pan. Ola poczuła się jakby była u siebie, lubiła to miejsce. Dziewczynki wygodnie rozsiadły się na widowni. W pewnym momencie światła zgasły, zrobiło się ciemno i cicho, ale już za moment reflektory zabłysły oświetlając środek tafli lodowiska, a na niej parę tancerzy, ubranych w piękne kostiumy w biało – niebieskim kolorze. Zaczęła grać muzyka, a para tancerzy rozpoczęła swój występ. Najpierw podwójny piruet, a potem pan podniósł panią do góry, Oli serce mocniej zabiło – to jej ulubiona poza. Było jeszcze kilka innych figur, których nazw dziewczynka jeszcze nie znała. Po występie zgromadzeni na hali widzowie oklaskiwali tancerzy, ale największe brawa były od Oli.

Zadowolona wróciła do domu. Wrażeniami z pobytu na lodowisku podzieliła się z rodziną podczas kolacji. Wszyscy zauważyli wielki entuzjazm w głosie Oli, kiedy to z zachwytem i błyskiem w oczach opowiadała o wspaniałym występie tancerzy. Tej nocy Ola nie mogła zasnąć. W swoim pamiętniku opisała urodziny Magdy, które jednak okazały się super imprezą, a przede wszystkim rozpisała się
o wspaniałych popisach tancerzy na lodzie. Zamykając oczy ze zmęczenia wiedziała już, co jest jej marzeniem – chce tańczyć na lodzie.

 **Milena Motyka**

Kolejny taki dzień. Ta rutyna coraz bardziej mnie przytłacza. Fajnie by było wyjechać gdzieś na tropiki, poopalać się w słońcu. Niestety życie to nie bajka.

Jadę teraz autobusem do tej obskurnej budy, jaką jest moja szkoła. Znowu będą się ze mnie wyśmiewać. Oni mają kompletnie gdzieś, co ja czuję i jakim jestem człowiekiem. Spływa to po mnie, lecz niekiedy nie daję rady.

Wysiadam. Gapią się na mnie. Nie wiem jak przetrwam ten dzień. W powietrzu wyczuwam jakąś katastrofę. Chyba tylko ja to czuję.

Nasz stary i bardzo dociekliwy pan Roman, który pracuje jako woźny, przygląda mi się podejrzliwie. Przechodzę obok udając, że nic nie widzę. Po prawie sześciu latach nauki, w tym przeklętym miejscu przywykłam, że nikt mnie nie toleruje.

Wchodzę do klasy. Siadam na krześle przy oknie i czekam na dzwonek. Przyszła matematyczka, więc udaję, że jestem w trakcie robienia bardzo trudnego zdania.
W tej właśnie chwili pragnę być niewidzialna. Wiem co się święci.

Jestem wywołana do odpowiedzi. Wszystkie pary oczu w, jak na komendę, odwracają się w moją stronę. Już na początku roku postanowiłam utrzeć tej nieznośnej kobiecie nosa. Pyta mnie co lekcje, i co lekcje dostaję „bardzo dobry” do dziennika.

Po siedmiu godzinach męki znowu wsiadam do autobusu. Jadę na drugi koniec miasta.

Zawsze, gdy idę w stronę tego budynku, przepełnia mnie dziwne uczucie. Niepewność, ból, cierpienie. Przystaję na chwilę trochę przygaszona, by zaraz potem ruszyć pewnie z uśmiechem na twarzy.

Wielki napis „SZPITAL” odbija się we wszystkich oknach. Nie da się zapomnieć gdzie się trafiło. Kieruję się na oddział onkologii dziecięcej. Ubieram fartuch ochronny. Wchodzę.

Od razu można się poczuć jak w innym świecie. Tutaj nie żyje się rutyną. Tu liczy się każda chwila. Dzieci witają mnie bardzo radośnie. One nigdy mnie nie zdradzą, nie będą się ze mnie śmiać. Kocham je. Wszystkie.

Siadamy w naszym ulubionym miejscu, w świetlicy obok okna. Zaczynamy od czytania, później gry i śpiew. Jednak czuję instynktownie, że coś jest nie tak. Lustruję wzrokiem salę i zamieram.

Nie ma go. Nie, to nie możliwe. Wybiegam i kieruję się do jego pokoju. Pusto. Tak cicho.

Stoję tak jeszcze z pięć minut, aż dociera do mnie, że mam jeszcze dla kogo tu przychodzić. Wracam. Podświadomie wiedziałam, że kiedyś to się tak skończy. Nie dopuszczałam tego do siebie. Nie mogłam. Nie chciałam. Jednak tu panują inne zasady. Ocieram z twarzy łzy.

Kończymy dwie godziny później. Rodzice tych dzieci jak zawsze mi dziękują
i zapraszają jutro. Wiedzą, że przyjdę. Ufają mi. Wierzą we mnie. To dodaje mi otuchy. Chcę wrócić do domu. Jak najszybciej kieruję się ku centrum. Widzę już jego dach. Później dwie ściany. Wreszcie drzwi i napis: „DOM DZIECKA”. Wchodzę.
To mój dom.

 **Ania Błocho**